

Tęsknimy za tym, czego nie mamy

6 grudnia 2009

Kiedy mieszkamy w Polsce, to nic tylko na nią narzekamy. Ale jak tylko ją porzucimy i jej zabraknie, to nagle budzą się sentymenty.

Na obczyźnie dopiero okazuje się, że nic nie smakuje tak jak polski majonez, a najlepiej czyta się prozę polskich pisarzy. Ale uwaga, to działa w dwie strony. Po powrocie z wieloletniej emigracji do kraju szybko się też okazuje, że znowu czegoś brakuje.

Prawie rok temu wybrałam się na spotkanie „Klubu Powracających” do warszawskiego lokalu „Lemon” na Sienkiewicza. Było to pierwsze spotkanie Polaków, którzy powrócili do kraju z zagranicy, głównie z Wielkiej Brytanii. Ponieważ była zima, to jak to w Polsce o tej porze roku bywa, na zewnątrz panował niemiłosierny mróz. W pewnym momencie wszyscy uczestnicy spotkania – a na pewno ci, którzy spędzili w Wielkiej Brytanii trochę czasu – oniemieli, kiedy za oknem zobaczyli grupkę dziewczyn odzianych w bluzki bez rękawów i z gołymi nogami w szpilkach. Obrazek w stylu brytyjskiego lansu małolatów. Spojrzeliśmy po sobie ze zrozumieniem komentując: jak w Londynie!

Od tamtej pory szukam czasami Londynu w Warszawie. Nie jest to łatwe, ale zdarzają się momenty. Nacieszyć się nie mogę, kiedy na półkach w polskich delikatesach znajdę na regałach z kuchniami świata sos HP, Marmite (love it or hate it). Kupuję od razu, a potem trzymam w kuchni z sentymentu. I chociaż produkty się przeterminowują, bo nie jestem miłośniczką Marmite, to sam fakt, że je mam, jakoś tak dziwnie cieszy. Pewnie na tej samej zasadzie, jak w Londynie słoiki z majonezem kieleckim czy musztardą stołową ze Społem.

Robiąc zakupy w warszawskich centrach handlowych zaglądam do Marksa & Spencera. Chociaż unikam słodyczy, bo nie lubię karmić się pustymi kaloriami, to kupuję tam Pic N Mix Fruit Pastilles, bo były to w Londynie, w chwilach słabości, moje ulubione słodycze. Jadąc warszawskim metrem czy rozklekotanym autobusem 131 na Mokotów i sięgając do torby po cukierka z Marksa & Spencera, przypominam sobie londyński smak. Lubię też zajrzeć do Empiku i zobaczyć co nowego w „Sunday Times”, bo mało co jest tak inteligentnie zgryźliwe jak felietony Jeremy Clarksona. Szczególnie czytane na papierze, a nie w Internecie. Żał tylko, że eksportowy „Sunday Times” jest sprzedawany bez kolorowych magazynów, które są fantastyczne. Za niedzielny poranek z kawą ze Starbucksa i z magazynem „Culture” czy z „Sunday Times Magazine” oddać można wiele, bo z całym szacunkiem dla polskich dzienników, które cenię, to żaden nie jest wydawany z takim rozmachem jak brytyjski „Times”. Brakuje też dobrze zrobionych telewizyjnych show i śmiałych komentarzy Simona Cowella. I chociaż Kuba Wojewódzki w „Mam talent” bardzo się stara, to jednak czuje się, że polska edycja pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Dzięki YouTube mogę być na bieżąco z poczynaniami Danyła Johnsona.

Londyn czasami odnajduję też płacąc w kasie. Miło jest, kiedy słyszy się „dziękuję” i widzi uśmiech na twarzy ekspedientki/ekspedienta. I nie ma znaczeni czy ten uśmiech jest sztuczny i wyszkolony. Jakikolwiek by nie był, ale zawsze miłszy niż fochy sprzedawcy wzbudzające poczucie winy, że w ogóle się coś kupuje.

Kiedy wyjeżdżamy na obczyznę, wszystko co polskie cieszy nas podwójnie. Na widok truskawkowej czekolady Wedla w polskim sklepie świecą nam się oczy, przed świętami potrafimy przemierzyć pół Londynu, żeby tylko dostać makowiec z polskiej piekarni. Niczym z pogardą patrzymy na brytyjskie mince pie, omijając je szerokim łukiem i uznając za obrzydliwy wymysł Wyspiarzy. Wraz z powrotem do kraju nagle okazuje się, że makowiec to właściwie mało atrakcyjne ciasto i kiedy znajomi

przed świętami przywiozą „na próbę” mince pie to zachwalamy i bronimy, że do tego przysmaku to trzeba dorosnąć. Ale tak to już chyba jest, i z życiem, i z miłością, że dopiero z dystansu widzimy co straciliśmy.

Autor: Joanna Biszewska

Źródło: [eLondyn](#)